

NOWINY

Wychodzą we *Włotek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stepowego.

Biuro ekspedycji w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

III.

Uczta weselna.

(Dokończenie.)

Machinalnie prawie zwrócił się pan Piotr, w którego głowie to całe zdarzenie pomieścić się nie mogło. I szedł czas jakiś w milczeniu, a za nim Mykita z wyrazem dziękuję, zwierzęcego postanowienia.

— Więc to była zemsta! mruknął pan Piotr przyspieszając kroku. Zemsta nad bratem rodzonym, za kobietę... za kochankę...

— Wam paniczu się zdaje, że każdemu kochanka tak obojętna jak wam; dziś ta!... jutro inna!.. U Mykity inne serce!...

— Ależ zemsta na rodzonym bracie!..

— Cóż to myślicie paniczu, że Mykita już tak zbabiał w waszym dworze, że nie umie się mścić!...

Wyraz twarzy Mykity, jego oczów i głosu stawał się coraz okropniejszy, pan Piotr nie bał się właściwie, ale niemniej przeto radby już był znaleźć się w domu. Nie zdawał sobie sprawy z własnych uczuć, ale ta nagła zmiana w postawie i głosie Mykity przerażała go.

— Wam się paniczu zdało, że Mykita to jak pies, co liże rękę która mu jeść daje, choć ta sama ręka go wybiła; że Mykita nie ma pamięci, nie ma tyle siły, by długo czekać na zemstę... i doczeka się... i zemści... Dla tego że Mykita wam służył wiernie, i zapominał że i babka i matka i ojciec i cała chata została nieszczęśliwą przez wasz dwór... Babka zwariowała, matka umarła, a ojciec z domu się wyniósł, i wziął brata, i nauczył go być złodziejem, opryskiem, aż przyszło do tego że brat brata zabił... A kto temu przyczyną? kto!...

— Mykito!... ty podobno pijany! ozwał się pan Piotr.

— Ja trzeźwy!... ja dziś jeszcze nie miał nic w ustach... mógłbym pójść do świętej spowiedzi... i ot spowiadam się przed wami paniczu... Ja nie pijany, kiedy wszystko pamiętam... jak mi ojciec kazał iść do dworu, a brata wziął z sobą... aby wasz dom miał zawsze dwóch nieprzyjaciół, jednego w domu, drugiego za domem. I dla tego, że ja się koło was liżał, i na słowa ojcowskie nie uważał, toście myśleli wszyscy że Mykita nie potrafi się zemścić!...

— Mykito! przestań! zawołał pan Piotr głosem su-

rowszym. Jesteś słaby! gadasz jak z gorączki... Chodźmy prędzej...

— Panu pilno do ślicznej żony!... i mnie pilno!... i razem zajdziemy, gdzie zająć mamy... Ale ja dziś wszystko wygadać muszę, jakbym się na śmierć spowiadał. I dla tego, że ja się patrzył, jakście wy uwodzili moją biedną siostrę... i uwiedli... i porzucili... aż biedna dla pokrycia wstydu zażyła jakieś ziele diabelskie!..

— — Mykito! ty wiesz że ja żałuję, bardzo żałuję Olanki... i że mi przykro! bardzo przykro!... Z tego możesz nawet miarkować, że słucham to wszystko co ty gadasz jak z gorączki i nie gniewam się...

— Dobry panicz! nie gniewaj się!... i Olanki żałuje... ale cóż z tego przyjdzie Olance, co mnie z tego... który brata zabiłem... bom się chciał zemścić... Otóż myśleliście paniczu, że ja już nie umiem mścić się, kiedym zniósł hańbę siostry!... Prawda paniczu!... żeście tak myśleli... i uważaliście Mykitę za padleca!... cho! cho! cho!...

W tej chwili stanęli już przy kładce, nam już znajomej. A od domu dochodziły ich światła, i głos muzyki, i jakiś cieplejszy powiew. Pan Piotr stanął już na kładce, a tuż za nim Mykita. Panu Piotrowi na widok dworu i światła coraz lżej się robiło na sercu; ledwie nawet słuchał już Mykitę, którego miał czy za pijanego, czy za uniesionego rodzajem szaleństwa po spełnieniu tak okropnej zbrodni. Pan Piotr myślał o ślicznej Moduni, którą zdało mu się widzieć, jak białym paluszkami kiwa na niego by prędzej pospieszał. Mimo najlepszej wszakże chęci nie można było pospieszać, bo kładka była długa, wąska dosyć, i jak to często widzieć można po górach, niezem nie wsparta od spodu, i ugiwała się za każdym krokiem.

— Ale Mykita nie padlec!... Mykita prawdziwy górall!.. pamięta wszystko... i umie się zemścić!... Brat mnie oszukał, zdradził... i już nie żyje... Nie spiescie się tak paniczu! nie spiescie nadaremnie! do ślicznej żonki!... A śliczna nasza młoda pani!... śliczna jak najpiękniejsze małowidło...

— Mykito! przestań raz!...

— Nie przestanę!... wrzasnął mu Mykita przeraźliwie nad uchem. Mykicie tak się podoba piękna pani, że lepiej nawet od Małanki. I ta piękna pani nie będzie wasza paniczu... nie będzie! nie będzie!... Bo Mykita pamięta wszystko... i jeżeli się zemścił na bracie, to potrafi się zemścić i za babkę i za matkę i za ojca i za siostrę, i za brata, któ-

rego byłby może nie zabił, gdyby nie ten dwór!... do którego wam spieszo, a którego nie będziecie już widzieć paniczu mój!...

— Pan Piotr stanął przerażony, nie tyle słowami Mykity, ile jakimś szczególnem poruszeniem kładki, która zaczęła się pod nogami jego uginać z pewnem złowrogiem skrzypieniem, jakby pękała lub była przełamana.

— Tak paniczu śliczny! pożegnajcie się z żoną piękną... której nie będziecie dziś pieścić w nocy... nie!...

— Łotrze! krzyknął pan Piotr, milcz!...

— Jedno uderzenie mojej nogi, a kładka się złamie, bom ją dobrze podciął toporkiem na samym środku!...

— Podły! podły zabójco!...

— Gdybym ja był podły tak jak ten co niewinną uwiódł dziewczynę, tobym się już dawno pozbył was... i z czarnym Iwanem razem pieścił waszą śliczną żonkę... i musiała by być moją. Ale Mykita nie podły! Mykita się tylko mści za swój cały ród, za swoją siostrę... a że Mykita zabił rodzzonego brata, bliźniaka swego, Mykita uderzy nogą w kładkę, i obydwaj z paniczem padną w przepaść!...

Co rzekłszy podniósł nogę. Okropne było położenie pana Piotra; aż mu mimowolnie włosy podniosły się do góry, bo żadnego najmniejszego już niewidział ratunku. A kładka pod ciężarem dwóch ludzi, coraz więcej skrzypi, coraz więcej trzeszczeć poczyniała. Nieśmiało żadnego zrobić poruszenia, by nie przyspieszyć okropnej katastrofy.

— Prawda paniczu! że Mykita umie się mścić! wrzeszczał góral syczącym jakby gadziny głosem; i ciągle trzymał nogę podniesioną, gotową do ostatniego uderzenia w kruchą kładkę.

W tej chwili umilkła nagle muzyka we dworze! jakiś gwar dał się słyszeć, gwar coraz bliższy i światła nawet jakieś zdawały się zbliżać przez drzewa ogrodowe ku kładce.

Przeniesiemy się na chwilę do dworu, aby się dowiedzieć co się tam przez ten czas stało. Jak mówiliśmy, zagrano huczno mazura, i mimo smutnego z początku wszystkich usposobienia wesołość przemogła. Dzielne uwijały się pary po wielkiej sali, z której stół wyniesiono; kawalerowie rozgrzani winem i ochotą cięli hołubca aż miło. I jakże nie było tańcować, kiedy Moszko sławny na całą okolicę wirtuoz skrzypcowy, rznął od ucha z takim zapamiętem, że się same nogi do tańca zrywały. I nikt prawie nie uważał na niebytność pana Piotra, prócz biednej Moduni, drżącej i zbladłej. A choć kto i zauważał, tłumaczono sobie jego niebytność rozmaitemi zajęciami gospodarskimi. Pani Julia spytała córki o męża, lecz zaspokojona przelotną jej odpowiedzią, odeszła. Biedna Modunia nie chciała matki niepokoić, a sama cierpiała nad wszelki wyraz. Nagle postrzegła jak się drzwi otworzyły, i stanęła we drzwiach postać jakaś, mogąca wzbudzić przestrach i przerażenie. Chciała krzyknąć, niemogła; palec tylko wy-

ciągnęła ku drzwiom, i pomału wszystkie pary tańczące stanęły, muzyka ustała, i wszyscy z rodzajem zabobonnego przestrachu patrzyli ku drzwiom. We drzwiach stała jakaś kobieta, chuda, koścista, istny trup, oczami okropnie obłąkanemi wodziła po wszystkich, a na ustach miała uśmiech pełny szyderczej złośliwości. Była to stara Warwara. Jakim sposobem, jakim natężeniem mogła się dostać z chaty aż do dworu, nikt nigdy odgadnąć nie potrafił. Lud tylko prosty umiał to sobie tłumaczyć, bo jak wiemy miał ją za czarownicę.

I powoli zbliżyła się aż na środek sali i stanęła między osłupiałemi parami tańczących; stanęła oko w oko naprzeciw starego pana Góry. Spojrzeli po sobie oczami obłąkanemi, i oboje jednocześnie rozśmiali się śmiechem okropnym, śmiechem wariatów, na którego odgłos wszyscy zadrzeli.

— Bawcie się! bawcie!... ja nie przeszkadzam, mówiła stara z wyrazem złośliwego tryumfu... Bawcie się i tańczcie państwo, choć pana młodego nie ma... On będzie już zaraz leżał w łóżku małżeńskim... śliczne wielkie będzie miał łóżko. Już stoi na kładce którą podrąbał jego ulubieniec Mykita... a tem łóżkiem małżeńskim, będzie przepaść pod kładką... Czy słyszycie jak kładka trzeszczy, skrzypi, i łamie się... Zagrajcież muzykanci!...

Wszyscy słuchali... przeczuwali coś okropnego, ale nie rozumieli o co rzecz idzie. Pierwszy opamiętał się stary Góra.

— Mój syn! krzyknął zbudzony na chwilę z letargu umysłowego! Na kładce przełamanej!... ratunku! ratunku! chodźmy! biegnijmy!.

— Niema już ratunku szydziła stara...

I wszyscy porwawszy światła z sali wybiegli ze starym; a między niemi i biedna Modunia ledwie już żywa, z oczami, w których długo wstrzymywana paliła się gorączka... A za niemi ozwał się jeszcze raz kilka śmiech starej, przeciągły, szyderczy, szalony.

Okropna to była scena, gdy wszyscy stanęli nad przepaścią przy kładce. Jeszcze stali i Piotr i Mykita na samym jej środku, wygiętym okropnie. Pan Piotr był błądy okropnie, najeżone miał włosy a wzrok jego gdy utkwiał na Moduni był przerażający boleścią, zalem, rozpaczą. Nikt słowa wyrzec nie mógł... wszyscy tylko wyciągali ręce ku stojącym. Mniej jeszcze od drugich była w stanie przemówić biedna Modunia; ona ukłękła tylko nad przepaścią i czy modliła się czy nie, Bóg to jeden wiedział, ale oczy jej były tak wymowne, tak żebrzące i boskiej i ludzkiej litości, iżby zda się kładkę poruszyć zdołały. Ale Mykity nie poruszyły. Stał zawsze z podniesioną w górę nogą, i patrzył na wszystkich śmiałym, wyzywającym wzrokiem. On w tej chwili wypiękniał; ale wyrazem dumy szatańskiej, cieszącej się zniszczeniem.

— Niema dla cię ratunku paniczu!... tu patrz w prze-

Choraży.

Powieść.

Ustęp II.

Pana Starosty był dzień patrona.
Dawniej to huczno śród braci grona
Starosta dzień ten spędzał wesoło;
I gdy się zeszło braterskie koło
Na dworze jego, przy dniu imienia,
To od wiwatów drżały sklepienia,
A od mis srebrnych gięły się stoły.
Nieraz w tym dworcu ze szlachtą społy
Starosta walne odprawiał rady
Nad sprawą kraju, to godził zwady,
A gdy się zgodzić braci udało
Znów od wiwatów sklepienia drżało.
Ale od czasu śmierci swej żony
Niedawał biesiad starzec strapiony.
Żył tylko Maryi i kraju sprawie,
A niepoświęcał chwili zabawie.
Dzisiaj tu ważna zaszła odmiana;
Starosta gońców rozsełał z rana
I panów braci do siebie sprasza;
A swe rozkazy w dworcu ogłasza:
Jakie z piwnicy wino wytoczyć,
Znów, by pokrowce ze ścian odtrzczyć;
By wszystko stało hojno, gotowo,
A sługom jedno dość pańskie słowo.

Starosta strojny w ubior bogaty
Przywołał Maryą do swej komnaty,
By nim przybędą bracia sąsiady,
Jej opowiedział cel tej biesiady.
Przybiegła Marya, lecz nie wesoła,
Jak gdyby odcień smutku anioła.
Choć w ustach uśmiech, oczko zamglone,
Znać że niedawno łezką zwilżone;
Na licu jakaś zaduma cicha,
A pierś jej młoda co chwila wzdycha.
Starzec ją czule całował w skronie,
I rzecze: Maryo! — patrz, włos mój biały,
Wkrótce już resztki życia dogonię,
W grób ojców pójdzie starzec zgrzybiały,
A wtedy Maryo! ty sama jedna,
Byłaś w świecie sierota biedna!
Dla tego dziewczko, nim życie skończę,
Chciałbym dla ciebie znaleźć obrońcę
Co by miał serce, i dobre miano,
Cnoty Polaka, cześć nieskalaną,
I by mi kochał jedyne dziecię
Co mu przy wianie poświęci życie.
Ty płaczesz Maryo? rozpogodź lica,
Wiesz, tyś najdroższa ojca dziewica.
Dziś ucztę daję dla ciebie miłą;
Zjadą się bracia i młodzi siła,
Bądźcie wesoła, dla młodzi grzeczna,
A słuchaj ojca dziewczko serdeczna!
Marya się we łzach ojcu przymila,
Całując rękę, głoweczkę schyla,
I rzecze: „Ojcie, jam taka młoda,
Żal mi cię rzucić, i lat mi szkoda.
Pozwól mi ojeze jakiś czas jeszcze,
Niech się swobodą moją popieszczę.”

paść... tu zginiemy obydwa!... tam popatrz w niebo!... i pomódl się... Mykita się musiał zemścić i zemścił się...

I silnie uderzył nogą w kładkę. I głośno ozwało się trzaśnięcie łamiącej się kładki. Głośny jeden krzyk wyrwał się ze wszystkich piersi; krzyk przeraźliwy, okropny. I w tej chwili znikł już Mykita ze środka kładki, a pan Piotr ostatniem, silnem, rozpaczliwem nateżeniem skoczył ze środka kładki na brzeg. I jednym kolaniem dostał się brzegu, druga noga wisiała nad przepaścią, ale rękami wecśniął się przez śnieg aż w ziemię zmarzniętą, i utrzymał się, utrzymał się prawdziwym cudem. I podniósł się, i upadł przy Moduni, która otoczona gośćmi, leżała na ręku matki bez przytomności. A stary ojciec pana Piotra patrzył znowu obłąkanym wzrokiem, i znowu zaczął się śmiać śmiechem szalonym.

Stara Warwara jak Bóg wie jak przyszła, tak i Bóg wie jak znikła. A gdy z rana sąsiadka przyszła do chorej Olanki, zastała Warwarę skośniąłą już na przypiecku.

I we dworze panował smutek okropny. Modunia nie przyszła do przytomności. Na weselnem łożu leżała w okropnej malignie, a przy niej stali rodzice i mąż zalany łzami. A choć po kilkunastu dniach maligna ją opuściła, dawne nie powróciło już zdrowie. Młode siły, gorączką przecięte, znikły niepowrotnie. Biedna panna młoda codziennie bledsza, codziennie chudsza, spiesznym biegiem konsumpcji zbliżała się do grobu. Pilnowali ją rodzice, pilnował ją mąż, ale nikt więcej nie pilnował i w dzień i w nocy, nad bladą i chudą jakąś dziewczynę, z śladami dawnej piękności niepospolitej. Olancka poczciwa nie odstępowała jej ani chwili, z uczuciem siostry pilnowała jej za życia, i pilnowała trumny po śmierci, aż i trumna ta znikła ze dworu Krywieńskiego.

Niedługo potem zgasł jak świeca dopalona stary Góra; i nastąpiła okropna samotność we dworze. Jak duch, jak cień jaki, o dwadzieścia lat zestarzały chodził po nim pan Piotr, bez myśli, bez nadziei, bez łyżki żadnej. I równa samotność panowała w chacie Warwary, po której snuła się ciągle Olancka zawsze chorowita, z modlitwą, z pieśnią pobożną i błogosławieństwem dla pana Piotra na ustach...

I takich przeszło lat parę; aż przecie zawrzała wojna roku 1831. Wiadomość o niej gdy się dostała w góry, pan Piotr ukląkł i podziękował Bogu, że mu pozwala porzucić to życie niepożyteczne. Nim wyruszył z domu pożegnał grób żony, i pożegnał Olankę, którą we wsi za świętą uważali. I już więcej nie wrócił, już go Olancka nie widziała. Bóg się zlitował nad nim, i dał mu śmierć chwalebna na placu bitwy wśród kolegów i rodaków. Zginął od kuli karabinowej pod Ostrołęką...

Janef Dzierżkowski.

Starosta na to nie odpowiedział,
Tylko popieścił jej lica gładkie,
A w myśli odgadł słów tych zagadkę,
I gdzie tem dąży z niej się dowiedział:
Ha! ona kocha już chorążego.
On sobie jakoś nie życzył tego;
Miał zamiar inny, dawne umowy,
A tu mu panie, jak sek do głowy.
Wpadła dziewicy miłość tajemna,
A był już pewny że jest wzajemna.
I choć ją pieścił, w skronie całował,
Jednak wyniosłe czoło sfałdował,
A poprawiając żupan z ałtasu
Myślał: zostawić trzeba do czasu.

Wesoło w domu, uczta wspaniała;
Szlachta się wkoło stołów zebrała;
Jaśnieją kordy w jaszczur oprawne,
Wartkie w zamachu a w cięciu sprawne,
A wszyscy strojno w łamy, ałtasy,
A przy żupanach złociste pasy;
Strojno, a dworno, jako przystało,
Ale i serca jest tam niemało!
Starzec rad gościom, co mu sił stanie
Zachęca, prosi, bo bez przynęty
Sama malaga niezem mospanie,...
A to był ojców obyczaj święty!

Idzie też hojno, nieskąpo wina.
Już puhar kołem krążyć zaczyna,
Z ręki do ręki, a w niezawodne;
Wiwat! wnet hukną piersi swobodne,
A stary węgrzyn przy dobrem słowie
Miłe dowcipy utwarza w głowie.
A u starosty był puhar stary
Z złota wykuty, niezwykłej miary
Z herbem familii, strukturą rznąęta
Więc tym wiwaty spełniać zaczęto.
Solenizanta najpierw spełniono;
Wiwat! niech żyje! i powtórzono.
Potem niech Polki żyją nam hoże,
Potem dziewice krasne jak róże!
I młodzież nasza! nasze nadzieje!
Niech nam fortuna zawsze się śmieje!
Niech wróg przepada! a ceszę walecznym;
Pamięć, co snem już posnęli wiecznym!
Rex vivat nobis! korona miła
Na którą stwórca niech łaskę zsyła;
(Toast na świetne losy korony
Trzykroć od braci był powtórzony)
W końcu nalana czara ostatnia:
Vivus aeternum miłości bratnia!

Hej, brzmi muzyka rażno, ochoczo,
Wnet razem młodzi w taniec poskoczą,
Przy nich dziewice miłe, powabne,
Jak jaskółeczki w polocie zgrabne,
Jak mazur to, mazur! już kołem stają
To znów szeregiem w parach pływają,
To znów się zwiną, niby jak wieniec,
Potem dziewicę rzuca młodzieniec,
I idą z wianka w przeciwnie strony,
Niby żurawi sznur rozwleczony;

Znów się wracają hołupca biją,
I w płasach wieniec na nowo wiją,
Teraz się ręce krzyżem splatały
I niby w bukiet kwiaty się zlały;
Znów się rozskoczą, dzielą się pary,
A młodzież chwytą pełne puhary,
Przed dziewicami w ukłon się chyła
I za ich zdrowie puhar wychyla.
Ha! otóż znowu figura inna,
Osobny szereg tworzy młódz zwinna,
A im naprzeciw krasne dziewoje,
Niby w bluszczowem pasmie powoje
Ręka przy rękę powabnie stają
I zagniewane niby udają.
Potem jak fale razem się zbiegną,
I odtracone obie odbiegną,
Znowu się zbliżą, hołupca biją,
I już tan piękny parami wiją.

I Marya płąsa, ale się zmusza.
Oj, nie tu buja młoda jej dusza;
Choć chwaty młodziem, wnet jaki taki
Do pięknej Maryi tnie koperczaki,
Ona ich zimno mierzy oczyma;
Bo jej Zdzisława pośród nich nie ma.
O! gdyby on był, to by dziewica
Radości ogniem skrasiała lica
I szłaby w taniec ochoczo, miło,
Bo by i serce inaczej biło.
Teraz na taniec ona nieczuła,
Lubą tęsknotą oczka osnuła,
I blade róża kwitnie na twarzy,
A myślom jakoś smutno się marzy.

Smutno po uczcie w starosty grodzie,
I dnie za dniami leniwo cieką
W tę nieskończoność czasu daleką
Jak mgliste zjawy na cichej wodzie.
Coraz smutniejsza piękna dziewica;
A chociaż lato ogród rozkwieca;
W bluszczach powoje wabią swą wonią,
A po gałązkach ptaszęta dzwonią,
Rzadko Marya tu kiedy stanie;
Smutną nie cieszy ptasząt śpiewanie,
Ni krasa kwiecia, ni pól swoboda,
Bo o kochanku śni dusza młoda.

Mieczysław B.

Michał Grabowski, o obecnym ruchu literackim.

Od lat kilku zamilkł był zupełnie szanowny autor: Stepów i koliszczyzny. Jak sam o sobie mówi, z roli aktora na scenie literackiej przeszedł był do roli widza.

Oddalwszy się na ciszą,
Patrzył jak też inni piszą.

Otóż z tego stanowiska wyprowadził go p. Przezdziecki objawszy redakcyą „Gazety Codziennej”. Zawezwał go do współpracownictwa i korespondencyi literackiej. Wziął znowu pióro do ręki, Nestor krytyki literackiej i najpierw w ten sposób skreślił charakterystykę dzisiejszego życia, dzisiejszej epoki literatury polskiej:

Powiedziałem we wstępie wyjątków *meo literackiego Pamiętnika*, drukowanych w Dzienniku Warszawskim, że przedostatni okres naszej literatury skończył się na 1848 roku. — Nie u nas jednych jest to data stanowcza. Gdzie indziej, jeszcze wyraźniej jest rok przełomu, jest to epoka, na której się zatrzymuje bieg jednych wyobrażeń, rozpoczyna pochód drugich. Literatury francuska, niemiecka, w całym swym składzie, w piśmiennictwie peryodycznym, w poglądzie na kwestye socialne, w filozofii, w poezyi, nawet w charakterze powieściopisarstwa, zmieniają do niepoznania oblicza. Inaczej też żadną miarą być nie mogło. U nas, bez widocznej zmiany w wyobrażeniach, zachodzi wielka zmiana w wypadkach literackich, a to naturalnie jeszcze ważniejsza. Po roku klimakteryicznym następuje parę lat zawieszonyj czynności, wątpliwego stanu rzeczy; aż nareszcie przejaśnia się widnokrąg, zjawiska umysłowego życia maożą się, przybierają wyraźny charakter; to się już nowy peryod rozpoczął.

Cóż więc charakteryzuje obecną chwilę? Przedewszystkiem główne miejsce literackiej czynności. W tamtym peryodzie było kilkanaście ognisk literackich, równoważących się prawie pomiędzy sobą; w tym jest tylko jedno, a przynajmniej jedno nad inne bez porównania przemagające: Warszawa. Czem się to ognisko najsilniej objawia? Piśmiennictwem czasowem, po prostu kilku gazetami polityczno-literackimi. To tem sprawiedliwiej ściągają na siebie uwagę, że gazety, do których mamy obowiązek przywiązywać tyle znaczenia, następują po tych, i tam, gdzie go nigdy najmniejszego nie miały. — Co mogły kogo w literackim względzie obchodzić kiedy gazety warszawskie? Były w prawdzie pomiędzy nimi takie, które dziesiątki lat liczyły istnienia, ale winne to były zaspokajaniu niejako materyalnej potrzeby nowin politycznych zagranicznych. Były to gazety polskie, bo drukowane były po polsku, ale cóż w nich zresztą było polskiego? Ażeby obok wiadomości obcych, obok urzędowych, krajowych, odświeślały jeszcze codzienny byt wewnętrzny, literacki, społeczny i t. p. swej miejscowości?... ani się domyślały, że to być może. Zjawiały się drugie gazetki, z niejakimi pretensjami do powyższego, ale była to pospolicie taka lichota, przedsiębrała to albo młodzieńcza zarozumiałość, albo nieudolna spekulacya, że powstania i upadku tych pisemek, ledwie kto się dopatrzył. Widocznie redakeyom gazet warszawskich brakowało pojęcia, co pismo czasowe może obdarzyć życiem i interesem? brakowało metody to uskutecznić, pobudek usiłować o to, a nadewszystko nie było może jeszcze talentów dość wyrobionych i chętnych skierować tędy swą czynność, skupić się w pewny ogół, i stworzyć tym sposobem codzienne organa, ożywione, popularne, rzetelnego wpływu. Kto zdecydował przyjsie do bytu dawno upragnionej, ale nieuiszczanej reformy dziennikarstwa naszej stolicy?... niewątpliwie inicjatywa *Dziennika Warszawskiego*.

Między zasługi literackiego zawodu hrabiego Henryka *Rzewuskiego*, policzonem kiedyś zostanie przyjęcie na siebie redaktorskiego powołania. Wydawca Tygodnika Petersburgskiego, witając pierwszy z uczuciem spółczucia i życzliwości nowy dziennik, (co było z jego strony razem i bardzo pięknym postępkiem, i dało mu powód wynurzenia wielu gruntownych myśli i zdań o czasowem piśmiennictwie, jak zawsze bywa, kiedy się on w jakiej materyi odezwie), wyraził, że zapowiada nową dobę peryodycznej literaturze, wejście jej pod kierunek takich ludzi jak hrabia Rzewuski, to jest ludzi, już poważnych samem towarzyskiem stanowiskiem, ludzi wytrawnego zdania i rozgłośnego literackiego imienia. — Czy Dziennik Warszawski odpowiedział oczekiwaniu, które wzbudził? czy poszedł w czemkolwiek za programatem, nakreślonym przez przyjaciela współwydawcę? czy nareszcie wyraża on w tej chwili charakter przekonania i dążeń głównego redaktora, albo też jego niespodziewanych kollaboratorów? nie chcemy poruszać tą razą tej bardzo ważnej, ale też i drażliwej materyi. Dla nas tego jest dosyć, co najmniejszemu zaprzeczeniu podlegać nie może, że jest niezmierna różnica między Dziennikiem Warszawskim i drugimi pismami na które on wpłynął, a gazetami, które przedtem były i jakie były w Warszawie. Charakter dzisiejszych jest ten, że mają życie, podczas kiedy tamte były zupełnie martwe.

Dziennik Warszawski od pierwszej chwili powziął myśl najszcześniejszą, skupiać prywatne wiadomości krajowe; starał się więc o korespondencye z różnych okolic, zbierał wszystkie nowiny literackie, dowiadywał się co robią nasi malarze, budowniczy, rzeźbiarze, donosił o przedmiotach sztuki, o przedsiębiorstwach przemysłowych, o ruchu handlowym, o wzroście i przyozdabianiu się stolicy, o ciekawych lub ważnych wypadkach na prowincyi, a nawet o zabawach i życiu prywatnych osób. To wniosło w Dziennik nieznanym przedtem żywioł interesu.

Czytając teraz *Dziennik Warszawski* i *Gazetę Warszawską*, czujemy, że to są pisma wychodzące w kraju, który ma swoje życie wewnętrzne, który ma sferę swoich interesów i zaprzętnień; dla którego jest znaczna liczba przedmiotów, a których wiadomość jest mu równie nieodzowną, jak pełną ceny. Takich gazet już żadne zagraniczne nie zastąpią, bo nie są już one, jak były przedtem, prostemi z tamtych wyciągami, ale zawierają także część własną, bardzo zajmującą i bardzo ważną. Dla tego rzeczą jest naturalną, że ruch takiego dziennikarstwa, wzmógł się bardzo, że pisma warszawskie, biorą górę nie tylko nad pismami polskimi innych prowincyj, ale w wielu razach już i gazety zagraniczne rugują, że dochodzą do okolic najodleglejszych, i w ręce takich czytelników, którzy dotąd żadnej ciekawości do gazety nie mieli, a w skutek tego, niektóre już osiągnęły cyfrę prenumeracyjną, dotąd w dziennikarstwie polkiem bezprzykładną. Sądzić jednakże mo-

zna, że nie jest to jeszcze kresem ich pomyślności; owszem, że wziętość ich wzmagać się musi, skoro tylko zasługiwać na nią potrafią. W tej mierze zwracać by powinny coraz większą uwagę na to, czemu dotychczasową zawdzięczają, na oddział *rzeczy krajowych*, wprowadzony tak szczęśliwie, (nie przestając powtarzać), przez redakcyą *Dziennika Warszawskiego*. Ten oddział można jeszcze bardzo ulepszyć. Na początek samo jego wprowadzenie było zasługą, ale przewidywać można, że później i względem niego, bardziej wymagającymi się staną. Nie jest on wcale tak łatwy, jak tego ma pozór. Owszem, wielkiego by rozumu i wielkiego taktu wymagał: zasługuje on rzetelnie na wielką uwagę, na szczególną troskliwość, a nadewszystko na zapewnienie mu nie trafunkowych, ale stałych i dobrze wybranych korespondentów. Z tem tylko pierwotna myśl szczęśliwa, we wszystkich swych korzyściach się urzeczywistni.

Gazeta Warszawska, zagrożona spółzawodnictwem *Dziennika*, usiłowała mu we wszystkim dotrzymać kroku; w nowościach które wprowadzał naśladować, a w kollaboracyi najglówniejszych spółczesnych pisarzy ubiedz. W tem ostatniem zupełnie się jej powiodło. Panowie: Choźko, Korzeniowski, Kraszewski i Kaczkowski, stale do niej pisują.

Już przeto sama *Gazeta Warszawska* ma prawo być uważaną, za główny organ literatury naszej w obecnej chwili. Pan Kraszewski z tem przyzwyczajeniem do ciągłego czuwania nad zjawiskami naszego piśmiennictwa, które się musiało stać drugą jego naturą, z tym wszechstronnym talentem i ukształceniem, które mu pozwalają o dziełach najrozliczniejszego działu nauki i sztuki, zawsze prawie z równą właściwością mówić, obdarza ją w swoich *Listach* wcale porządną kontrolą bieżących piśmiennych zjawisk. Zresztą felieton *Gazety Warszawskiej*, jest przedewszystkiem powieściowy. Nie można się poniekąd nie zdumieć, że w tym właśnie czasie, w którym felietonem powieściowym przesycono się za granicą, w którym on przeszedłszy przez wszelkie stopnie wydziwiania i zapędu nareszcie upadł, z pism szanujących się wyrugowanym został, wtedy dopiero w nasze dzienniki powieść wkracza, staje się ich podporą, i że to za wypadek pożądany dla literatury uchodzi. Istotnie też są odmienne, właściwe nam okoliczności, które to tłumaczą i usprawiedliwiają. Nie godzi się też brać naszych powieści za jedno z temi, które osławiły mianowicie francuski felieton. Tak przepyszne, historyczne powieści, jak: *Listopad*, *Zamek Krakowski*, *Lizdejko*, takie arcydzieło jak *Murdelio*, taki klejnocik jak *Żegota z Milanowa Milanowski*, gdziekolwiekby się ukazały światu, uwielbienie powszechne wzbudzą. Zresztą zastanówmy się, czy też te wszystkie powieści, nie były raczej ogłoszone tylko w gazetach, ale nie pisane dla gazet? co bardzo wielka różnica! Lecz czy tak zawsze będzie? czy

zły obyczaj nie wywoła koniecznie złych następstw? czy kiedy się przebiorą powieści napisane, nie zaczną się nowe pisać na codzienną potrzebę gazety? czy nie ukazały się już i teraz takie, które noszą na sobie cechę terminowej faktury, a ztąd prawdziwą krzywdę swoim autorom robią? dość mi tymczasem te wątpliwości położyć. Sądzę, że jedyny sposób zawarować nasz powieściowy felieton od upadku ten byłby, żeby redakcyje starały się o jak najobszerniejszą kollaboracyą, a przy dostatku materiałów, pozwalając im czekać cierpliwie na dzieła wypracowane powolnie i doskonale skończone, nie nagląc nigdy autorów do pośpiechu, zabójczego dla największego geniuszu, otwierałyby tylko kolumny dziennika do ogłoszeń w właściwą porę, kiedy ten tryb publikacyi stał się już ze składu okoliczności, literaturze naszej dogodnym. Tymczasem to tylko chciałem tutaj powiedzieć, że ponieważ najznakomitsze utwory spółczesnej belletrystyki, (wliczam je znowu piśmiennie: *Lizdejko*, *Juracy*, *Murdelio*, *Żegota Milanowski*, nareszcie *Bracia ślubni*) ukazywały się i ukazują się w Warszawie i w gazetach warszawskich, naturalnie, że cała nasza powszechność tam zwraca oczy, tam widzi najznakomitsze ognisko literackie, do pism darzących ją tak cudnymi dziełami sztuki, przywiązuje już wyobrazenie nie prostych gazet, ale najżywotniejszych organów piśmiennego życia obecnej chwili. Nic podobnego do tego przed 1848 rokiem nie miało miejsca; nikt tak na Warszawę nie patrzył, nikt w tamecznych pismach nie mógłby dojrzeć ani tego życia, co teraz, ani tego ciągłego rozbłysku talentów; usprawiedliwia więc to nas, sądzimy, że w tem celu zupełnie nowego peryodu upatrujemy. (D. n.)

Rozmaitość.

I stoliki przydadzą się czasem. (Zdarzenie prawdziwe.) Pan M., pan kilku wiosek, wdowiec i ojciec jedynaczki córki, zapalonym został zwolennikiem duchów pukających. Całe dnie przepędza przy stoliku tak że zaledwie stało mu czasu pomyśleć o tem, iż pora by była już wydać za mąż córkę. Wybiera więc sobie zięcia i ogłasza córcę, iż za pana D. za mąż pójść ma. To człowiek młody, ma dwie wsię, a co najważniejsza nie żąda zaraz posagu. Ale cóż? pan D. niebardzo podoba się pannie. Jednakowo panna Julia wiedząc iż uporu i raz przez ojca powziętej myśli nie przełamać nie zdoła, «Bardzo dobrze, kochany ojczu» rzecze, «ależ potrzeba było spytać się pierwaj babki czy dobry to wybór». «A prawda, spytajmy się.» I staje ojciec z córką do stolika. Pyta się czy wybór uczyniony jest dobry? Babka odpowiada: «Nie.» «Więc będę żałował tego wyboru?» «Tak jest.» «A widzisz ojczu jak to dobrze stało się iż spytaliśmy babki, byłabym była całe życie nieszczęśliwa;» rzecze córka. «Ależ kochany ojczu, gdy już jesteśmy przy stoliku, czemuż nie spytasz się babci; który mąż byłby dla mnie najlepszy, z którym byłabym szczęśliwa?» «A dobrze,» odpowie zasmucony trochę ojciec. «I począł pytać się i wymieniać wszystkich znanych mu z sąsiedztwa i z dalszych okolic kawalerów, których uważał za różnych sobie i majątkiem i urodzeniem. Ale stolik ciągle powtarzał: «nie.» Nadaremnie sili się biedny ojciec na przypomnienie sobie choć jednego jeszcze i już chce córcę oświadczyć, iż zapewne niebo są-

dziko jej zostać starą panną, gdy Julia sama odezwała się: «A może pan S...?» A stolik piorunem wypukał: «tak jest.» «Pan S...?» rzecze ojciec z lekceważeniem. «Anim pomyślał o nim, a ty Julio?» «Babcia usłuchać trzeba, ona najlepiej wie, z kim ja szczęśliwa będę. Kiedy babcia każe, więc pójdę za pana S.» Nazajutrz zaproszono na obiad pana S. który równie głęboko w stolik wierzącym się okazywał i ujął sobie tem ojca panny. Wkrótce przyszło do zaręczyn. Skąpy trochę ojciec przy zrękowinach oświadczył, iż niemoże za życia dać córce więcej posagu jak 10,000 złr. Pan S. należał do tej kategorii młodych kawalerów którzy i przy najczulszej miłości swego interesu nie przepomną, osobliwie gdy wieś mają obdłużoną. Kwota ta wydała mu się za małą. «Ha dobrze» odpowiedział, «ale niech stolik rozstrzygnie i o tem.» Ojciec sam spytał stolika czy 10,000 złr. będzie dostateczny posag? Stolik odparł że «nie.» «A więc ducha babki» rzecze sam pan S., «oznacz sam kwotę posagową, pukając raz przy każdym 10,000 złr.!» Stolik podniósł nogę i wypukał dziesięć razy, 100,000 złr.! Ojciec wykrzyknął z zadziwienia i trwogi, ale babcia wyrzekła, nie było innej rady. Piękna Julia idzie tych zapust za swego Adonisa, który 50,000 tysiącami spłaca długi a 50,000 zostaje młodemu małżeństwu na ulepszenia gospodarskie i na podróż za granicę!

Zapłodnienie sztuczne stawów i rzek coraz więcej wchodzi w używanie. W Ziemiannie, kalendarzu wydanym w drukarni Ossolińskich na rok 1854 jest obszerniejsze opisanie w jaki sposób się to skutecznia. W dobrach Hohenstadt, w austriackim Szląsku, właściciel pan Handl czynił liczne doświadczenia z zapłodnieniem ikry rybiej. Kupił dwa szczupaki duże 18go Kwietnia a po wymieszaniu ikry z mleczkiem i przeniesieniu jej do skrzyni, już 10go Maja wyległo się przeszło sto sztuk drobiazgu. W szkole weterynarskiej w Monachium jeszcze więcej doświadczeń czyniono. Ostatnim razem właśnie sam król odwiedzał ten sztuczny zakład, gdy tysiące ryb wylegało się. Największy zaś zakład jest w Hünningen u inżyniera Hummel, który zajmuje się rozmnażaniem sztucznem łososi i pstrągów. Dr. Haxo w Epinal, wydał dziełko, w którym dokładnie uczy tego wynalazku, który we Francji wielkie bardzo już przyniósł korzyści. Dziełko to wyszło i w niemieckim języku w Lipsku pod napisem *»Die künstliche Fischerzeugung.»* Osobliwie u nas, gdzie w górskich potokach wylapano już prawie pstrągi zupełnie, a inne rzeki mało są zarybione, wynalazek ten mógłby przynieść wielkie korzyści. Warto aby kto zajął się przekładem wspomnianego dziełka.

Pani Nagel, właścicielka zamku *la Mousière* w departamencie *Pont de Veyle* odkryła sposób, uprawy sztucznej trufli. Wsadzila w r. 1851 małe trufelki i obrzynki w ogrodzie wzdłuż alei z grabiny. Próba się udała. Trufle zaczęły rósć i rozmnażać się szybko. W tym roku w *Journal de la Société d'horticulture*, kilku amatorów ogrodnictwa przekonawszy się o tem na miejscu, ogłaszają obszernie sprawozdanie o tem odkryciu. Piszą iż do uprawy trufli trzeba jedynie stosownej ziemi, to jest przemieszanej z liściem z grabiny i debowem i z wapnistą gliną. Zdaje się, iż wszystkie gatunki grzybow uprawiać by można sztucznie, przysposobivszy odpowiednią im ziemię. Trzeba by jeno zbadać naturę ziemi, w której one dziko rosną.

Panna Rachel w Petersburgu. Sławna ta francuska artystka ma pozostać w Rosyji i pójść tam za mąż za jakiegoś księcia rosyjskiego. Z jej pobytu w Petersburgu opowiadają następujące zdarzenie: Na jednej z głównych ulic znajdowała się właśnie gdy opuściła sanki, aby przypatrzeć się i zwiedzić kilka bogatych sklepów. Było bardzo zimno, lecz artystka ubrana w bogate ciepłe futro, niezważała na silny przeszło dwudziesto-stopniowy mróz. Wtem jakiś mężczyzna idzie wprost ku niej, wpatrując się w nią zawzięcie. Artystka rozniewana odwróciła się ku najbliższemu sklepowi, gdy

w tem przyskoczył ów jegomość, pochwycił ją w pół lewą ręką, a prawą schyliwszy się, i nabrawszy śniegu zaczął jej przemocą nos bardzo gorliwie nacierać. Panna Rachel zaczęła na całe gardło krzyczeć o pomoc, i zbiegli się przechodzący, obścąpili naszą parę wokół, lecz nikt nie dawał jej pomocy, chociaż z udziałem i z ubolewaniem na nią spoglądali. A nawet jeden z otaczających ją podawał napastnikowi coraz świeżego śniegu. Nareszcie gdy ów jegomość sądził, iż już jej dosyć natarł nosa, puścił ją, skłonił się grzecznie i rzekł: «Przepraszam, ale nos pani już był przemarzł, spostrzegłem to, i usiłowałem uratować jej tę delikatną i tak potrzebną część twarzy.» Istotnie w Petersburgu przy wielkiem zimnie zwykle przechodzący poglądają sobie po nosach, a spostrzegłszy nos bliźniego w niebezpieczeństwie, natychmiast biorą się do nacierania go. Panna Rachel wyrozumiawszy rzecz całą, najczulsze dzięki złożyła wybawcy nosa jej; ztąd zawiązała się znajomość. I ma to być ten sam młody książę, który zakochawszy się w niej potem szalenie, pragnie posłubić francuzkę.

Z Wadowskiego. — Ks. Ludwik Lewartowski napisał dla II. gimnazyalnej klasy: *»Wykład obrzędów i zwyczajów katolickiego kościoła»*, które to dziełko do potwierdzenia przedłożył władzy duchownej i Wys. Ministerium Oświecenia. Tenże autor pracuje obecnie nad dziełem religijnem: *»Święta cisza pobożnej duszy»*, czyli: Rozmyślenia nad najważniejszymi prawdami katolickiej nauki. Zamierza także wydać *dla ludu wiejskiego* na sposób czytań niedzielnych i świątecznych: *»Wykład obrzędów i zwyczajów katolickiego kościoła.»* Ks. Makary Maniecki, wikaryusz z Białej, przetłumaczył wyborne popularne *kazania Westermeyera*, w 3. tomach i do potrzeb ludu naszego zastosował. Dzieło, osobliwie dla początkujących kapłanów wielce upragnione. W Wadowicach ma wyjść w tłomaczeniu: *»Katechizm historyczny Jana Szmidy»*, który jest nieocenionym skarbem do kazań i katechizacji. Prócz tego Ks. Ernest Wodzinski zajmuje się coraz gorliwiej tłomaczeniem nowych religijno-moralnych powiastek Schmidta.

Z Przemyskiego. Jako jeden z gorliwszych czytelników dziennika twego panie Redaktorze niewieźmiesz mi za złe, jeżeli tu pozwolę sobie zrobić uwagę, iż dla nas na wsi mieszkających i z położenia naszego przykutyh prawie do pługa, znających zaledwie z kalendarza iż właśnie w czasie zapustnym jesteśmy, a więc w czasie w którym bawić by się wypadało, dowiadujących się z innych dopiero pism czasowych iż istotnie są jeszcze ludzie, którym się bawić chce i bawić się mogą, byłoby bardzo pożądanem wyczytywać w dzienniku «Nowiny» obszerniej o postępach karnawałowych w naszej stolicy, aby tym choć sposobem z światem wesołym być w komunikacji i czasem jaką chwilkę z naszego jednostajnego życia choć myśla o zabawach rozerwać; nam tu albowiem przy codziennych gospodarskich kłopotach ni czasu ni chęci do wesołości, boć to i żyto stokłosne i pszenica źle wydaje i jęczmień się nie urodził i kupca niema i ceny w proporcji za niskie i tysiące innych dolegliwości; a gdy tak nad tym ogólnym tegorocznym niedoborem się zastanawiamy, niemożna nieprzyznać iż rok każdy ma przecież choć na jeden artykuł urodzaj. I tak niniejszy zdaje się być pomyślnym na starych kawalerów i stare panny, jak tego i nasza okolica doświadcza i z innych stron się dowiadujemy, iż produkt ten dosyć poszukiwany, ba nawet w ten karnawał jeszcze znaczna partya w świat pójdzie. Mamy więc i my niepłonną nadzieję iż także coś z zabaw karnawałowych zarwiemy i również jak i wy weselić się jeszcze będziemy, a jeżelibyś zechciał szanowny Redaktorze bym i ja ci późniejszych co do tego szczegółów udzielał, racz że i nam w «Nowinach» donieść jak wy czas przepędzacie. (Najchętniej umieszczać będziemy wszelkie sprawozdania o karnawale z wszystkich okolic naszej prowincyi, a bale w stolicy wszak już zaczęliśmy opisywać. B.)

Cesarzewicz Jego Mość raczył łaskawie przyjąć zaproszenie na bal, który hrabia Kajetan Lewicki w przyszłym tygodniu daje.

Drugi bal u JEx. hr. Namiestnika dany będzie w środę następną.

We wtorek, jako donieśliśmy się, dany będzie w sali reductowej **bal na korzyść szpitalika dla małych dzieci**. Jak dowiadujemy się, z rozkupowania biletów wstępnych widać iż bal będzie bardzo liczny i świetny.

Wczoraj odbyło się w kościele jezuickim **nabożeństwo żałobne za duszę** zmarłego generała kownicy, barona **Appel**, który był drugim właścicielem konsystujących tutaj na ogniowej straży huzarów od pułku wielkiego księcia Wirtemberskiego. Cesarzewicz Jego Mość był obecny na tym obchodzie; również wszyscy generałowie i korpus cały oficerów. Po mszy żałobnej odbył Cesarzewicz przegląd dywizji huzarów.

W Paryżu mówią teraz wiele o **nowym wynalazku w malarstwie**, odkopowywania w jednej chwili każdego olejnego obrazu. Odbicie ma być tak doskonałe iż trzeba bardzo wprawnego oka, aby rozróżnić móż oryginał od kopii. Rysunek, koloryt, efekt, wszystko jest tak podobne jakby *facsimile*. Za jednym razem można trzy kopie zrobić tak, iż galerya obrazów w Luwrze w kilku dniach odkopowywać można. Zapewne, iż przy dokładniejszym wpatreniu poznać można, iż farby są trochę zatarte i zamglone. Ale kopia taka zawsze jest piękniejsza niż najpiękniejszy staloryt. Wynalazek ten jest rezultatem osmnastoletniej pracy i doświadczeń.

Pewien **reputowany myśliwy**, opowiadał w kółku biesiadnym, że przeszłego roku zabił sam jarząbków 777. «To być nie może,» odezwie się jeden z towarzyszy; «mogłeś zastrzelić 888 lub i więcej ale co 777 to najmocniej temu przeczę.» «A to dziwna logika!» zagadnie myśliwy. «Dziwna nie dziwna, jak ci się zresztą podoba,» podchwyci przeczący, «ale to pewna że 777 jest moją liczbą uprzywilejowaną na którą ja zmyślam i dla tego nikomu jej niemogę ustąpić.»

»Ach że też Rotszylid i kapitaliści wszystko tak czarno teraz widzą!» — »A to dla czego?» — »Iż floty połączone wpłynęły na czarne morze.» — »A jeśli z morza czarnego zrobi się czerwone?» — »Ha, właśnie wątpią czy po raz drugi rozstąpi się morze i będą mogli suchą nogą wrócić do ziemi obiecanej.»

Załączona do dzisiejszego numeru za miesiąc styczeń rycina **mód damskich** przedstawia: 1) *Ubiór na wieczór tańczący*. Suknia z jasno-niebieskiej lustryny o trzech spodnicach. Stanik i rękawy jak i falbany obszyte są wstążką *à la vieille* bufowaną, tegoż samego co suknia koloru. Ubranie na głowie z koronek z kwiatami po obu bokach. 2) *Ubiór od wizyty*. Suknia z ałtasu kawowego koloru. Rękawy i stanik obłożone fałdowaną wstążką ałtasową. Kapeluszek aksamiitny koloru bławatku, wokoło ugarniowany kwiatami. 3) *Ubiór od przechadzki*. Suknia jedwabna w kraty bez obszycia. Płaszcz ciężkimi jedwabnymi frenzlami obszyty. Kapeluszek bardzo płytki z czarnego aksamitu i blondyn. O załączonych formach krojów tychże samych ubiorów w następującym numerze.

Mody męskie. — Rycina przedstawia: Trzy ubiory od wyjścia. Jeden burnus grecki, rodzaj płaszcza, który się zarzuca na ramiona. Drugi paletot sięgający po kolana, trzeci paletot dłuższy sięgający o wiele niżej kolan, najmłodniejszy obecnie.

Szarady.

1.

Pierwsza i trzecia powstaje na wodzie,
Druga i pierwsza służy ku wygodzie;
Całe stojąc na miejscu, trzęsie papieloty
Lub się wspina, lub stoi w szeregach piechoty.

2.

W pierwszej i trzeciej wieszcz wygłasza pienia,
Druga i trzecia bezpieczna schronienia,
Z całości pochodzi przechadzka, zabawa,
A wielkim miastom często jej nie stawia.

Znaczenie zeszłej szarady: **Apteka**.

Przyjechali dnia 1. 2. i 3. lutego do Lwowa:

PP. Baworowski Mikołaj prow. jez., z Tarnopola. Gottlob Kwiryn wł. dóbr, z Dołhomocisk. Hoszowski Erazm dzw. dóbr, z Wełdżirza. Krzczunowicz Waleryan wł. dóbr, z Bołszowca. Kruszewski Henryk wł. dóbr, z Chorobrowa. Niemirowski Józef wł. dóbr, z Krakowa. Stadnicki Edward i Kazimierz hr. i wł. dóbr, z Krakowa. Strzałkowski Ignacy dzw. dóbr, z Sokołowa. Zabiłski Józef hr. i wł. dóbr, z Tarnopola. Zabielski Ignacy dzw. dóbr, z Brzeżan. Zarzycki Maksymilian wł. dóbr, z Chotyłub.

PP. Berezowski Henryk dzw. dóbr, z Wodnik. Dobek Konstantyn wł. dóbr, z Sarnek. Jasiński Bazyli pleban, z Magierowa. Kotkowski Zygmunt wł. fab. cuk., z Czerlan. Łodyński Antoni dzw. dóbr, z Mikołajowa. Mrowczyński Ambroży aptekarz, z Rohatyna. Niewiadomski Tadeusz dzw. dóbr, z Sopotyna. Obniski Wiktor wł. dóbr, z Mycowa. Starzewski Adam hr. i wł. dóbr, z Krzywca. Strzelbicki Jan pleban, z Firlajowa. Wiktor Walentyn dzw. dóbr, z Kozielnik. Wiśniewski Ludwik wł. dóbr, z Putyatycz. Wojakowski Marceł dzw. dóbr, z Swistelnik. Ziętkiewicz Stanisław dzw. dóbr, z Brodów.

PP. Czaykowski Waleryan dzw. dóbr, z Nadycz. Dobrucki Franciszek wł. realn., z Łoczowa. Kulm Franciszek aptekarz, z Przeworska. Merunowicz Eustachy pleban, z Tolezowa. Mikołajewicz Józef wł. dóbr, z Więzowa. Popiel Michał dzw. dóbr, z Jaśnik.

Wyjechali dnia 1. i 2. lutego ze Lwowa:

PP. Cywiński Franciszek wł. dóbr, do Doliny. Dobrzyńska Michalina hr. do Tarnopola. Dulcka Domicella wł. dóbr, do Pławczy. Dzieduszycki Juliusz hr. i wł. dóbr, do Jarzewca. Janko Henryk wł. dóbr, do Hoszan. Kunecki Leopold gr.-kat. pleban, do Łoczowa. Łoś Justyan hr. i wł. dóbr, do Borkowa. Nowosielska Anna wł. dóbr, do Jasła.

PP. Dzieduszycki Władysław hr. i wł. dóbr, do Jarosławia. Gutowski Kazimierz i Włodzimierz wł. dóbr, do Dobrowlan. Guzkowski Marcin wł. dóbr, do Brzeżan. Lachowski Leopold c. k. kasjer, do Krakowa.

Lwów 3. lutego. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pšenicy ozimej po 18 złr. — kr. do 21 złr. — kr. — Żyta po 14 złr. 47 kr. do 15 złr. 47 kr. Jęczmienia po 12 złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 7 złr. 50 kr. do 8 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 13 złr. 35 kr. do 14 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 15 kr. do 9 złr. Sąg drzewa bukowego 26 złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po 22 złr. 15 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 27 kr. do złr. 2 kr. 45 Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 1 złr. 52 kr. w. w.

Kurs lwowski.

Dnia 4. Lutego.	gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 50	złr. 5 kr. 54.
Dukat cesarski	" 5 " 52	" 5 " 54.
Półimperyal zł. rosyjski	" 10 " 12	" 10 " 14.
Rubel srebrny rosyjski	" 1 " 59	" 2 " —.
Talar pruski	" 1 " 51	" 1 " 53.
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 28	" 1 " 29.
Galicjskie listy zastawne za 100 złr.	" 90 " 12	" 90 " 30.

Kurs telegraficzny z Wiednia 3. lutego o 2 g. popołudniu.

Amszterdam 107½. Augsburg 127½. Frankfurt 126½. Hamburg 93½. Liworno —. Medyolan —. Genua. Londyn 12. 22. Marsylia —. Paryż 149. Bukareszt. —. Konstantynopol. —. Agio duk. ces. 31½. Srebra agio 26. Pożyczka 5% 89½. 4½ 79. Pożyczka lit. B. —. Akce banku 1298. Kolej północna 2270. Obl. ind. 5% —.